

# Gołębiowski, Stefan

---

## Trzecia zapowiedź

---

Bieżuńskie Zeszyty Historyczne 10, 36-66

---

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Trzecia zapowiedź<sup>\*)</sup>

### Od redakcji

Każdy prawie pisarz oprócz utworów, które go wyrażają i reprezentują niejako oficjalnie, bo wcześniej ukazały się drukiem, pozostawia po sobie zawsze sporo prac nie drukowanych, pisanych w różnych okresach swego życia. Są to na ogół wg filologów tzw. „papiery” – listy, szkice, pamiętniki, utwory drobne, zbiory pisanych przemyśleń, ikonografie. Z ich pośmiertnym publikowaniem przez wydawców różnie bywa.

Niekiedy działa zakaz ich publikacji wyrażony w testamentie pisarza. Tak było w przypadku „Dzienników” Stefana Żeromskiego.

Często – jak w przypadku „Dzienników” Marii Dąbrowskiej – muszą one jakby „odleżeć” swoje, dojrzeć musi do ich ogłoszenia chwila polityczna, społeczna, kulturowa. Jest to wtedy, analogicznie jak w dziedzinie stanowienia prawa, swoiste „vacatio”.

Ostatnimi laty, wydaje się, mamy podatny grunt i odpowiedni czas na publikowanie ukrytych w szufladach pisarzy „papierów” i dzieł, które z różnych przyczyn nie ujrzały światła dziennego. A przecież, tak naprawdę, i te są przeznaczone w pierwotnym zamyśle autora dla czytelnika. „Sobie a Muzom” już dzisiaj nikt nie tworzy.

Kiedy w 1991 roku żona Aleksandra Wata (Paulina – Ola Watowa) wydała pozostawione przez męża „papiery” okazało się, że czytelnicy otrzymali bezcenne źródło wiedzy o pisarzu i epoce, w której przyszło mu żyć. Wydanie nie drukowanych „papierów” odbyło się częściowo wbrew woli ich autora, ale w przedmowie do tych książek – „Mój wiek” (1990), „Dziennik bez samogłosek” (1990) i „Świat na haku i pod kluczem” (1991) – można przeczytać, że spadkobiercy spuścizny po wielkim pisarzu wyszli z założenia, że „czynią dobrze”.

Zespół redakcyjny „Bieżeńskich Zeszytów Historycznych” podjął decyzję o rozpoczęciu druku nieznanych, bo dotąd nie wydanych pism pozostawionych przez Stefana Gołębiowskiego.

Jak wiadomo, był autorem nieco kontrowersyjnym w ocenie jego czytelników. Opinie o wierszach i prozie są podzielone.

Sukcesywne wydawanie nie drukowanych do tej pory jego literackich świadectw istnienia, takich jak: „Wizerunek trójosobowy”, „Wspomnienia odmilkłe”, „Dwa spojrzenia”, „Dziennik trzeciego wieku”, eseje i szkice – to według zespołu redakcyjnego przedsięwzięcie i konieczne, i potrzebne. Wynika z naszego prawa i obowiązku.

Jego uczniom poszerzy perspektywę patrzenia na całokształt życia człowieka, począwszy od jego lat szkolnych.

Jego czytelnikom dostarczy koniecznego w takich sytuacjach kontekstu biograficznego, bez którego często odbiór utworów bywa utrudniony.

Wreszcie wszystkim pozwoli na wypracowanie być może prawdziwszej oceny postaci Stefana Gołębiowskiego – nauczyciela, dyrektora, poety, tłumacza, prozaika i społecznika.

Jeśli te cele zostałyby osiągnięte, zespół redakcyjny będzie uznawał – że „uczynił dobrze”.

---

\*) Fragment niepublikowanego pamiętnika Stefana Gołębiowskiego pt. „Wspomnienie odmilkłe”, (maszynopis w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu, sygn. MB/DP/360; s. 47–80); autor nie podał daty ich napisania, z tekstu wynika, iż mogły powstać ok. 1980 roku.

Były dwie zapowiedzi: pierwsza starsza, a druga młodsza, a między nimi moja trzecia ani starsza, ani młodsza. Dwie rokujące i moja zapowiedź

### nierokująca

Urodziłem się w dolinie rzeki Wkry. Wyłoniłem się z oparów gasnącego i nowego wieku. Pierwsze lata przysłania mgła i patrzę na nie przez mgłę okien i przez mgłę w oczach matki.

Urodziłem się we mgle u schyłku listopada zapóźniony. Pono przyniósł mnie, jak mówił wiatraczny mój ojciec, na świat śmigowy wiatr. Nie wiatr, bałamut, obieżywiat, lecz wiatr, czeladnik robotny.

Do dwóch wątłych, siostry i brata, przybył trzeci pisklak. Koło pierworodnej córki krążył już anioł śmierci. I po niej mojemu bratu też podobny wróżono los przedwczesnej dojrzałości. Koło nich tańczył cały dom.

Dla mnie istniał tylko czas okrojony. Toteż sam zacząłem się upominać o swoje prawa. Płakałem i krzychałem na przemian. W ten sposób organ głosu tak wyszkoliłem, że do dziś dnia nic się nie zestarzał. Kamuszek rzucam do mego ogródka ekstremalny.

Na początku był mój głos nad podziw zdrowy. Nie bez krzyku protestu. Prawie że dwa lata leżałem w kołyszce, aż w jej biegunach wykołysałem chorobę angielską, jak wówczas mówiono, krzywiczne nóżki.

Siebie na takich krzywych, kawaleryjsko-kabłąkowych nóżkach nie pamiętam. Należały do wczesnego dzieciństwa i w jego słońcu zginęły wraz z furą piasku przywieziona spod Białogóry, co nie miała nic wspólnego z górami i szczytami, których nie ma na Mazowszu.

Nie mam zamiaru poszerzać mojej świadomości przez tego rodzaju uzupełnienia faktograficzne. Jedno z nich na dowód przytoczę — fotograficzne. Zdjęcie pod każdym względem pierwsze. Sprzed przeszło 80 laty.

Krzeseł z wysokim oparciem od tyłu. Z lewej strony od widza najstarsza, niebawem śmierci podległa, siostrzyczka, a z prawej najstarszy braciszek. Między nimi ja na krzeselku jestem ich rówieśnikiem.

Spod sukienki wyglądają krzywe nóżki. Podpiera je szczyt krzesła i rączka na ramieniu brata. Wzrok Helenki czuwa, żebym się nie zachwiał. Nie ma obawy. Jeszcze tak źle nie jest. Życie we mnie się uśmiecha z głową nieco opuszczoną. Dzieciństwo nie radość. Być może, później będzie lepiej.

Do tego później należałoby wprowadzić poprawkę, bo pono już w roku następnym nóżki się wyprostowały jak struny. Słońce zaczęło się uśmiechać do mnie na bocianich nóżkach w słomianym kapeluszu.



**Stefan Gołębiowski w otoczeniu rodzeństwa: Helenki i Zygmunta, ok. 1903 r.**  
Fot. w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu.

Miałem usposobienie pogodne i od niepokoju matki uciekałem do ojca. Przez niego polubiłem krowy, pokochałem naszą szkapę Gniadą i nieodłącznie towarzyszącego nam Urwisa.

Podobały mi się rogi krowie i wcale się ich nie bałem. Ciekaw jednak byłem: — Dlaczego krowy mają rogi? — W odpowiedzi usłyszałem: — Są za łagodne i muszą bronić siebie i mleka. Przecież to jest pierwszy pokarm krowi i po matce ludzki .

Ojciec miał rację. Bez krowiej drogi mlecznej do wieku swego nigdy bym nie doszedł. Ale to w moim obecnym przekonaniu rogów jeszcze należycie nie tłumaczy. Zwłaszcza na pastwisku w dni słoneczne. Rogi krowie to ramy liry bez strun, a jednak ze strunami słońca, które w nich grają.

Po moim pytaniu przyszła kolej na pytanie ojca: — Dlaczego kochasz Gniadą? — ...bo kiedy wchodzi do stajni, to głowę zwraca w moją stronę, bo rzy na powitanie i parska na zdrowie, bo kiedy jej sól lub cukier w kostce, zaoszczędzonej z herbaty, podaję, liże po ręce , nawet kiedy już go nie ma, bo ma takie duże oczy, że można w nich się przejrzeć jak w lusterku, bo ma taką piękną długą grzywę, że można się na jej grzbiecie utrzymać, bo kopytami iskry krzesze, kiedy za długo w stajni stoi, bo... bo, bo moje Bobo, nie czterema, bo jedną starą nie iskry krzesze, lecz podzwania. — Tu ojciec Gniadą poklepał i po chwili dodał: — za to, że kochasz Gniadą, pojedziesz ze mną do kowala .

Ojciec Gniadą wyprowadza ze stajni. Sadza mnie na niej. Chwytam się grzywy. Ojciec w jednym ręku trzyma uzdeczkę, a drugą trzyma mnie za nogę. Jedziemy przez podwórze do bramy, a stamtąd w lewą stronę ulicy Zamkowej przez Tryftę i Sierpecką w stronę Starego Rynku, w połowie drogi zataczamy podkowę.

Stajemy przy kuźni, którą od nas dzierżawi kowal z rodu kowali stary Perłowski.

Gniadej nie odstępuję ani na krok. Kowal wychodzi z pudełkiem narzędzi i z podkową wykutą na zapas. Gniadą zna jak własną kieszeń. W trymiga odrywa starą podkową i hufnalami przybija nową, bo pasuje jak ulał.

Jak to mówią, nawet się nie obejrzałem, a już Gniada stanęła na czterech podkutyh nogach. Ze starą podkową stary kowal podszedł do mnie, poklepał po ramieniu i wręczył ujeżdżoną ze słowami: — Na szczęście!

Uszczęśliwiony na Gniadej wróciłem z powrotem do domu, gdzie pobiegłem do starszego brata, żeby się pochwalić, że jechałem wierzchem na Gniadej i nic a nic się nie bałem. Po czym wręczyłem mu ją, jak mnie kowal, ze słowami: — Weź ją! Na szczęście! —

A brat podkową zważył w rękę i tak się odezwał: Dzięki za podkową, mój mały, jak dorośniesz, życzę ci, żebyś mógł jeździć na skrzydlatym rumaku — nie bez uśmiechu dodał na pół żartem. A na serio zdecydował przybić podkową do progu naszego domu.

Do 1920 roku jeszcze ją pamiętam tańczącą z progim, a potem w nowych drzwiach ze starym progim, podobnie jak starszy brat zginęła bez wieści.

Dzięki ojcu pierwszą miłością pokochałem zwierzęta domowe do czasu, aż sam się stałem

### ośloklasowy

Nim do tego doszło, coraz bardziej stawałem się synem mojego ojca. Z dziecięcego powołania synem gospodarskim. Nie tylko w podwórzowym obejściu, ale i w polu, przy orce, na łąkach przy sianokosach i nawet przy torfie na Bąkach. Gdzie tylko mogłem, na swój sposób dreptałem ojcu po piętach. Byłem jego Piętaszkiem.

Jak mogłem, wymykałem się matce, która na mnie patrzyła z powątpiewaniem, bez przekonania. Wbrew ojcu, który zaczął mnie wyróżniać za przywiązanie domowe do ziemi większe niż u syna pierworodnego. W ten sposób niechcący dołał oliwy do zapalonego ognia matki. Na razie jeszcze tłumionego.

Sytuacja tymczasem w domu naszym po 1905 roku nieoczekiwanie poprawiła się na lepsze. Wuj Budzich wraca jako student na stałe do Brudnic i po śmierci ojca, a mojego dziadka, sam bez przygotowania młynarskiego, bierze szwagra, mego ojca wiatracznego, na współnika w brudnickim młynie. W ten sposób dom znalazł się na głowie matki. Ojciec najął parobka do spraw gospodarskich i tylko do nas przyjeżdżał na niedzielę. Moje kontakty pierwsze z ojcem urwały się bez-

powrotnie. Straciłem dawne zainteresowania, a matka zapracowana i niecierpliwa nie umiała nowych rozbudzić. Szwendalem się po domu jak popychadło. Straciłem apetyt i smak do życia. Stałem się cherlakiem fizycznym, lecz i opóźnionym psychicznie. Matka zaczęła tracić serce dla mnie.

Pewnie nie bez racji. Nie byłem dzieckiem obiecującym, jak śp. córeczka i syn najstarszy. A tu jeszcze do tego chodziła przy nadziei. Patrzeć na mnie nie było zachęcające. Nie jest to żadne oskarżenie matki.

Mam już siedem lat. Czas mnie posłać do szkoły. Do rosyjskiej za rok wystarczy. Swego czasu nauczyła starszego syna czytać bez większych trudności. Uwierzyła w swoje zaledwie elementarne wiadomości i bezwiednie zniechęciła mnie do nauki, zamiast zachęcić.

A.B.C., elementarz zaczynający się nie od słów znaczących, lecz od liter i sylab bezsensownych. To przy nim zaczęło się ciągnięcie za uszy i z tego powodu wylazł ze mnie osiołek, a po nim osioł i osioł nad osłami. A kiedy się chwaliłem, że nie byle jaki, lecz osioł nad osłami, to wtedy brat mnie nazwał dardanelskim. W tej niemal dwuletniej dreptaninie nie posunąłem się z miejsca naprzód przez swój osli upór, który jeszcze do dziś się we mnie odzywa.

A.B.C., pierwsza książka łez dziecięcych. Siedzę z nią na stołeczku. Deska z nawleczoną halką do prasowania, cała w falbanach, oparta na stole i na parapecie okna. Ja na stołeczku kartki elementarne łzami sklejam, a tymczasem żelazko węglowe w rękę matki podczas prasowania łzami syczy.

Matko we łzach, dzięki ci za to. Przez tę książkę łez dziecięcych, przez tę książkę oplakaną pokochałem książki miłością dozgonną.

Po matce moich nauczycieli domowych pomijam, bo ich dobrze nie pamiętam. Jeden tylko z nich utrwalił się w mojej pamięci. Nauczył mnie działań arytmetycznych na zapałkach. To przez niego matematyka była dla mnie przedmiotem najłatwiejszym i nie sprawiała mi żadnych trudności.

Nazywał się Zygmunt Boniecki, syn szwaczki. Skończył Seminarium Nauczycielskie. Przyjaźnił się z moim bratem i z polskiego mnie podciągnął. Jeden i drugi zginęli w 1920 roku. Nie ma po nich nawet śladu mogiły. Z językiem polskim były kłopoty, a co mówić z rosyjskim. Szkoła blisko, bo ją widać przez okno. Jednoklasówka czterooddziałowa. Bez słońca. Od północy. Zawilgocona. Pod każdym względem odpychająca.

Poziom niski, a jednak wyższy od mojego umysłowego. Jej nauczyciel za bardzo się przejął opinią o moich ograniczonych zdolnościach i posadził mnie na oddzielnej ławce z uczniem najgorszym, prawie że debilem.

Nie ode mnie matka dowiedziała się o tym, lecz od garbatej Mańki, poczciwej naszej pomocy domowej. Najstarszy taki wszechstronnie uzdolniony, a ten taki ograniczony tępak. Wprost w głowie się nie mieści. Nie było innej rady. Jak swego czasu starszy brat, ruszyłem do Żuromina, gdzie już byli dwaj moi cioteczni, Tadeusz i Kazik. Do niezawodnej Cioci Stasi i jej Antosia, energicznego i zaradnego.

Moi bracia już w szkole mieli swoje miejsce w wielkich ławach przeznaczonych dla uczniów. Dla mnie jednak w nich miejsca zabrakło. Przy ścianie z mapą wstawiono małą ławeczkę. Dla mnie i dla nauczyciela.

Uczył mnie z polecenia Wuja, kto był zdolniejszy i kto miał cierpliwość mnie uczyć. Ja wciąż do jednego miejsca przypisany, a ci, co mnie uczyli, należeli do kadry płynnej. Zostawiali mi na wyrost czasu i to było ich główną zaletą, że się na mnie nie skarżyli.

Mimo to nie uważałem siebie za upośledzonego. Swoje umysłowe opóźnienie uważałem za rzecz naturalną. Ba, nawet chwaliłem się przed ojcem, że tyle osób sprawdza na mnie swoje kwalifikacje pedagogiczne.

Zresztą, zwłaszcza początkowa atmosfera w klasie, w odniesieniu do mnie do zachęcających nie należała. Byłem w niej wyalienowany, i co gorzej, przeciwstawiany moim młodszym braciom ciotecznym.

Nic też dziwnego, że we mnie wbrew cioci Stasi, znów się odezwał nieproszonej osioł i ja temu bezkrytycznie w swej naiwności sprzyjałem zgodnie. Uczyłem się, bo musiałem się uczyć, ale tak na odtrąbionego.

Nie żyłem w szkole, ale raczej poza szkołą. Na dobre liczyły się godziny dwie, trzy, a nawet więcej po obiedzie. Tworzyliśmy trójkę muszkietierów szkolnych na dworze Wujostwa pod przewodem ich niezawodnej córeczki Jadzi. Rozpuszczeni jak dziadowski bicz.

W to mi graj. Ucieczka od szkoły i bieganie naokół trzech rynków targowicy żuromińskiej. I dalej jeszcze: na Łask w stronę Poniatowa, do rozwidlenia w stronę mego Bieżunia lub babcynego Olszewa, rzadziej w stronę Mławy do Dąbrowy lub Wiadrowa, a najchętniej, jeśli nas ktoś zabrał, do Brudnic, do rzeki, do młyna, do babci i do Wuja Budzicha.

Lubiliśmy biegać i ścigać się nawet w dni słotne, kiedy w klasie również przebywaliśmy po lekcjach. Jadzia stawała na straży, a my bez butów w pończochach po ławkach, bodajże czterometrowych, biegaliśmy tam i z powrotem, trzy lub pięć razy, żeby zdobyć pierwsze miejsce 3- lub 5-dystansowca.



**Stefan Gołębiowski w mundurku uczniowskim.** Fot. w zbiorach Muzeum Małego Miasta w Bieżuniu.

To były nasze nadliczbowe ćwiczenia fizyczne. Wujowi to nasze bieganie po mieście i za miastem, a zwłaszcza harce w szkole, na których nas schwytał i po swojemu surowo skarcił, wcale się nie podobały. Nic nie miał przeciw bieganiu. Sam był ruchliwy w bieganiu wokół własnych i po wścibsku wokół cudzych interesów, ale takie jak nasze bieganie bezinteresowne było nie w jego guście. Chciał nas mieć na widoku nie poza szkołą i nie w szkole po lekcjach, ale przy szkole i na rzecz szkoły. Poszedł po rozum do głowy i naraz przypomniał sobie palant z dzieciństwa skępskiego.

Kupił dwie piłki lanki, dał zrobić u stolarzy trzy palanty, wyznaczył plac na rynku naprzeciw szkoły, dobrał do nas dziewięciu chłopaków zdolnych i pracowitych i w sprawowaniu wzorowych z warunkiem: tylko ten będzie grał w palanta, kto się będzie dobrze uczył. Dwójka – dzień z gry wyklucza.

Nikt i nic nie mogło nas bardziej zmobilizować niż ten palant i piłka. Szkoła stanęła na głowie. W odniesieniu do mnie do tego stopnia, że wreszcie rozprawiłem się z uporem osła, na rzecz uporu po ojcu odziedziczonym.

Ta władza piłki i palanta trwała do czasu, aż się pogoda popsuła i przyszły uciążliwe deszcze. Okna płakały, bo rynek tonął w błocie, w którym pono świnia się utopiła, a więc płacz jesienny był uzasadniony.

Wśród takich dni, z łaski na uciechę, do mojej ławki siadła nauczycielka, co dopiero odbywała pierwszą praktykę. Była łagodna i tak ujmująca, że postanowiłem przyjść jej z pomocą. Zacząłem się uczyć na potęgę, żeby mój Wuj mógł przedmiot mojej adoracji pochwalić, a nawet wyróżnić.

Udało się. Co więcej, zachęciła ją tak, że zabrała się do nauki ze mną z całą gorliwością. Dla niej i przez nią poczyniłem takie postępy, że Wuj mój zdecydował się jechać do Płocka, żeby mnie umieścić we wstępnej klasie rządowego Gimnazjum.

Tam mój niezawodny preceptor posadził mnie przy dobrym uczniu i radził mi, żebym zerkał do jego pracy, gdybym miał wątpliwości. Napisałem: Napoleon sie-



jał róż, zamiast: Na pole on... i jeszcze gorzej: W dierewnie wołki cerkow sjeli, zamiast w dierewnie Wołki cerkow s jeli. Wątpliwości nie miałem i dlatego źle na tym wyszedłem.

Durak, nie miał smykałki. Z taką sentencją egzaminacyjną wróciłem do Bieżunia jako ułęgała, bo po drodze pełną gruszę od ułęgałek tak nazwałem.

Od nowego roku szkolnego Wuj skasował ławeczkę pod ścianą i przeniósł mnie do najwyższej ławki w klasie. Znalazłem się w niej wśród starszych chłopców i roślejszych ode mnie. Byli to Gralewski, Przystup i Kołodziejski, którzy czuwali nade mną i pomagali mi w razie potrzeby.

To był już ostatni mój rok w szkole, zakończony egzaminem i uzyskaniem Swiditielstwa Zurominskowo Adnoklasowo Uczyliszcza. Po nim rozstaliśmy się ze sobą i po latach nie przestaliśmy być kolegami jako nauczyciele, tylko że ja z różnicą wyższego szczebla w wykształceniu.

Razem ze szkołą pożegnałem Żuromin i udałem się do Płocka, do Rządowego Gimnazjum Męskiego. Tym razem już nie do klasy wstępnej, lecz pierwszej o znacznie wyższym stopniu wymagań egzaminacyjnych.

Wuj Antoni, mój patron naukowy, dwoił się i troił w pokonywaniu różnych trudności. Przede wszystkim ze względu na mój opóźniony wiek. Obowiązywał przepis najwyżej lat 11, a ja miałem prawie że 13.

Nie wiem już, jakim sposobem uzyskałem rządową metrykę z wiekiem o dwa lata młodszym, całe szczęście, nie budzącą wątpliwości, bo późno zacząłem rosnąć jako niedorostek.

Egzamin pisemny z języka rosyjskiego wypadł nie najlepiej. Podczas dyktanda nie dosłyszałem końca zdania i zajrzałem do sąsiada. Już mi chciał egzaminator arkusz odebrać, kiedy mi się krew rzuciła do nosa. Chusteczką zahamowałem upływ krwi, ale jednocześnie poplamilem arkusz. Egzaminator machnął ręką i ze słowem „naplewat” zostawił mnie własnemu losowi.

Nie było innego wyjścia. Ojciec sto rubli z carycą Jekatieryną z ciężkim sercem z portfelu wydobył, a niezawodny ze smykałką szwagier Troickiemu (bo Polakom najwyżej trójki stawiał) w łapę wsunął i ustny egzamin z taką protekcją zdałem na upragnioną trójczynę.

W ten sposób po uciążliwych latach ośloklasowych stanęła przede mną zapowiedź w Gimnazjum

#### ośmioklasowa

metamorfoza z osła na kujona z przyszłej kuźni Hefajstosa.

Zmierzch. Na pożegnanie żab granie. Na twarzy rozmazane łzy matki i moje. Zielniak Jutusia. Wio, wio! Na abramowych kołach z ojcem jadę do świtu. Do bram Płocka na Tumskim wzniesieniu ze szkołą wzniesioną.

Cały dzień na nogach. Poszukiwanie stacji. Ta za droga, ta za licha, w tej nie widać porządku, w tamtej wątpliwa opieka. Wreszcie przy ulicy Grodzkiej znajdujemy w oficynie na piętrze wysoki, obszerny pokój na czterech uczniów też z pierwszej klasy. Nauczyciel Przybojewski, opieka co się zowie. Żona przyjemna i zaradna. Czeka na mnie łóżko z siatką. Ojciec taszczy tobół z pościelą i już jestem u siebie.

Pani częstuje nas kawą z mlekiem. My zostawiamy wałówkę i znów na miasto. Do jednego krawca po mundurek, ze stojącym kołnierzykiem, i długimi spodniami, do drugiego po szynel długi na wyrost, bo przecież po tobie nikt w czymś podobnym nie będzie chodził, do czapnika po kaszkiet podobny do wojskowego, i wreszcie do sklepu skórzanego po pajas.

U Stępczyńskiej kupiliśmy podręczniki do klasy pierwszej i różne przybory piśmienne wraz z zeszytami i brulionem. Do tego papier listowy, żebym nie zapomniiał pisać do domu.

Załatwiwszy te i inne sprawy, w późnych godzinach popołudniowych zjedliśmy skromny obiad w Hotelu Poznańskim i stamtąd przez Stary Rynek i ulicę Gimnazjalną doszliśmy do Tumów, żeby popatrzeć na Wisłę.

Ojciec jako dalekowidz objął większy horyzont niż ja, raczej krótkowidz. Wzrokiem objął lasy i z zachwytem zawołał: „Popatrz, jak one tutaj się zbiegły, jak one tutaj się tłoczą, żeby na Wisłę popatrzeć, a u nas tylko drzewa, co dróg i zagród się trzymają albo latają po polach wciąż w poszukiwaniu innych. Zamiast borów borki, zamiast lasów laski, zamiast gajów zagajniki.”

Słońce zachodzi za lasy. Zorzą płoną wierzchołki drzew. Nie ma co zwlekać. Wracamy tą samą drogą do ul. Bielskiej. Wczoraj ja o zmierzchu żegnałem dom, a dzisiaj o zmierzchu żegnam ojca ze łzami.

Znów wkoło Wojtek wracam ul. Bielską. Nie sam, lecz z beksą, który wylazł ze mnie. Wypuściłem połę szynela z rąk. Szukam chusteczki. Wycieram oczy i idę na ślepo. Bielską przecina Szeroka. Wpadam w rynsztok pełen wody, bo kanalizacja nawaliła. Szynel uszargałem niemożliwie.

Wodą nasiąkł tak, że sechl przez miesiąc, a potem błoto w niego tak wrosło, że nie miałem siły go oczyścić. Toteż do Bożego Narodzenia chodziłem bez palta. Dopiero z wielkim trudem przy wyjeździe na święta brat mi pomógł je oczyścić. Po błocie zostało jedynie wspomnienie.

Nazajutrz na wielkiej sali rekreacyjnej początek roku szkolnego. Po nim rozej-

ście do klas. Trzymam się Włodzia Ehrenkreutz, syna sekretarza gminnego w Bieżuniu, mieszkającego prawie vis á vis naszego domu, i ruszam z nim do jego klasy. Wychowawca odczytał całą listę. Brak mnie na niej. Wtedy Włodzio mówi: „Tu klasa Ib, a ty pewnie z Ia, nie z naszego korytarza, lecz z tego długiego. Wyjdź, ukłoniwszy się, a ja cię usprawiedliwię.”

Zrobiłem jak mi radził. Doszedłem do poprzecznego korytarza i stąd od zegara szafkowego do dzwonka wysoko wiszącego, pewnie jeszcze poklasztornego, i do wnęki, w której stał barczysty mężczyzna w ciemnych okularach, jak się później okazało, inspektor, zwany przez młodzież szpekciem.

Do niego to podszedłem, ukłoniłem się i zapytałem grzecznie: „Proszę Pana, a gdzie tu jest klasa Ia”. Wówczas ten jak oparzony wrzasnął: „A eto czto takoje proszę Pana, ja tiebie pokażu”.

Chwycił mnie za kołnierz, podniósł w górę, zem tylko szedł na czubkach palców do pierwszych oszklonych drzwi na prawo. Przez nie wpadłem do klasy ze słowami: „Wot twajo proszę Pana. Pa polski gawaryt' wospreszczajets'a”.

Nareszcie w klasie i jakby poza klasą. Uczniowie narodowo i religijnie zróżnicowani, synowie Rosjan, Niemców, Żydów w mniejszości, a mimo to panują nad większością Polaków od Sasa i od lasa powstańczego. A jednak nic nie uchodzi uwagi naszego wychowawcy i nauczyciela rysunków Wasilia Wasiliewicza. Przez swoje aczki udaje, że nie widzi, ale swoim szpiclowskim okiem umie wszystko wytropić.

Wybrał z uczniów dwóch porządnych zabijaków i oni to po dwóch upomnieniach dawali za trzecim razem swoim kolegom wcierantus pojasem Szatana. Szatan to był grubas mojżeszowy, co nosił pas szeroki, jako że pochodził z ulicy Szerokiej, i długaśny, że dwóch uczniów śmiało można nim było opasać. Przynajmniej takich jak ja.

Z innych profesorów natrętnie utrwalili się w mojej pamięci Igoryj Igorewicz, co na matematyce uszy uczniom podkręcał i matematyka jakoś im szła do głowy, oraz Gaspadin Goffmann, który na lekcjach z języka niemieckiego umiał niemożko poszutić!

Lubił prowadzić lekcje metodą pogładową. Zaczynał od klasy i jej wyposażenia z zapisywaniem słówek na tablicy i w zeszytach każdego ucznia. Był nie tylko pomysłowy, lecz i zabawny.

Po lekcji pogładowej o klasie przyszła kolej na ucznia. Wywołał z pierwszej ławki z kaczym nosem mojego rówieśnika i postawił go przed katedrą. Dłonie położył na jego głowie i powiedział: Das ist der Kopf, potem były włosy – die Haaren, czoło – die Stirn, oczy – die Augen, uszy – die Ohren, nos – die Nase, a w tym wypadku die Entennase (salwy śmiechu w klasie), o tym mówią usta – der

Mund. Potem profesorskie dłonie podniosły ucznia w górę i ten stanął na katedrze.

Po nauce pogładowej od głowy zaczęła się nauka pogładowa od nóg: najpierw stopy – die Füße i na nich trzewiki – die Schuhe, przy których spodnie układały się w harmonijkę.

Gaspadin Goffmann pociągnął te spodnie w dół ze słowami: Das ist die Hose. Spodnie bez szelek z paskiem i z gatkami spadły z nóg. A kiedy uczeń pochylił się, żeby je podciągnąć w górę, Gaspadin odwrócił go tyłem do klasy i dał mu hałaśliwego klapsa ze słowami: Das ist der Hintere.

Przytaczam to interludium o bzdurnej wartości dydaktycznej po to, żeby podkreślić, jak sprawy błahe i niemądre śmieszne mają większe szanse utrwalenia się w pamięci niż godne zapamiętania.

Boh trojcu lubit, toteż był i trzeci, Troickij abrustitiel, ten, co przez swoją surowość od języka rosyjskiego odpychał, chociaż uczył poezji na pamięć. Tego żywym we mnie dowodem są „Biesy” Puszkina i „Borodino” ze „Stichotwarienii na izust” dla pierwszych 4 klas Gimnazjum.

Gdybyż taka książeczka u nas istniała i z roku na rok obowiązywała! Jakież to piękny byłby fundusz poezji od czarnoleskiej do jasnorzewskiej i wielowiejskiej. Bogacący, a nie ubożący piękno naszej mowy ojczystej.

Wiersze lubiłem, zwłaszcza ich melodykę. Z prozą jednak było gorzej. W niej piętą Achillesową był akcent, który zdecydował, że nie otrzymałem promocji do klasy drugiej, tylko poprawkę. Czyżby się miała powtórzyć druga sturublówka? Na to pierwsza wojna światowa nie pozwoliła.

We wrześniu starszy mój brat udał się do dworu w Sławęcynie w roli korepetytora, a do nas tylko przyjeżdżał, żeby sprawdzić zadany mi materiał z programu klasy drugiej i zadać nowy z koniecznymi wyjaśnieniami.

Po roku na prośbę Wujostwa brat ze mną znalazł się w Babcu Wiączankach i tam już zdecydowanie zdystansowałem moich braci ciotecznych, Tadeusza, i Kazika, chociaż Wuj Antoni uważał ich za zdolniejszych ode mnie.

Niedługo ta nauka trwała, bo tylko dwa miesiące. W Warszawie otwarty został Uniwersytet i mój starszy brat zaczął studia na wydziale lekarskim. Nim jednak do tego doszło, zawiózł nas do Płocka, gdzie po egzaminie wstępnym zostaliśmy przyjęci do Drugiego Gimnazjum Męskiego w Płocku: ja do klasy III, Tadek do II, a Kazik zaledwie do I.

Na ten niewątpliwy sukces, bez żadnej protekcji, musiałem widocznie zasłużyć, ale już za to musiałem zapłacić niedoborem fizycznym. W drodze wyjąłem nogę z opatulem i wywiązało się z tego reumatyczne zapalenie stawu w prawej kostce.

Na szczęście w nieszczęściu znalazłem należyłą opiekę w rodzinie Państwa Wawrzyńskich. Piszę rodzinie, a nie na stacji, bo mego starszego brata z domem tym wiązała, jeszcze z ławy szkolnej, zażyła przyjaźń z Kazikiem i zapowiedź na wspólne medyczne pożycie z Marysią. Ja zaś znalazłem w tym kole rodzinnym pierwszego przyjaciela swego Gutka.

Po dwóch tygodniach starań i opieki lekarskiej wróciłem do szkoły bez utykania, zdrów jak ryba. Użyłem słowo „wróciłem”, nie bez kozery. Wróciłem do dawnego rygoru, który skupiał w sobie Dyrektor Skupiński.

Podobnie jak Troicki Polakom z języka rosyjskiego stawiał tylko trójkę, tak wszystkim uczniom nasz Dyrektor nie stawiał wyżej, jak dostateczny. A jednak co za różnica. Tamten był odpychający pod każdym względem, a ten mimo swej surowości zasłużył na wdzięczną pamięć. Nauczył mnie matematyki, tak, że ona nawet się w mojej poezji odzywa.

Rygor w nauczaniu i swoboda w domu tak się ze sobą spoiły, że ten pierwszy rok przez Stare Miasto, gdzie mieszkałem, przez Gimnazjum starodawne wiodące do Tumów żyje w mojej pamięci najtkliwszymi wspomnieniami.

Na trójczynach przeszedłem do klasy czwartej, lecz już, niestety, z domem Państwa Wawrzyńskich musiałem się pożegnać. Wuj Leszczyński na ulicy Węziennej znalazł dla naszej trójki stancję u Pani Sikorskiej. Wdowy obarczonej pięciorgiem dzieci po przedwczesnej śmierci męża sędziego.

W klasie przybył jeden przedmiot nowy, język łaciński, sześć razy w tygodniu. Uczył go, jak też i języka polskiego Zygmunt Maciejowski, nasz wychowawca, nauczyciel z powołania, oddziaływający na uczniów osobowością swoją.

Nie był to rok szczęśliwy dla mnie. Mieszkanie na poddaszu niedogrzone, bo wiatry ciepło z niego wywiewały. Przeziębilem się i reumatyzm, rok temu sygnalizowany w stopie, powrócił w kończynach rąk i nóg. Palta sam włożyć nie mogłem. Ze schodów schodziłem z ramieniem na poręcz. Włókłem się do szkoły jak łama-ga. W czasie pauz nie wychodziłem na korytarz.

Pokręcony chodziłem jak siedem boleści. Co niemiara nałykałem się aspiryny, atophanu. Smarowałem się różnymi maściami. Nic nie pomogło. Medycyna okazała się do niczego, ale Pani Sikorska miała głowę na karku. Radzono, ażeby mnie oddać do szpitala, a ona zrobiła po swojemu. Wziąłem tylko trzy kąpiele z wytrząsków siana i postawiła mnie na nogi.

Potem sił dodała mi wiosna, a słońce przyszło z pomocą. W jego łaskawych promieniach całe popołudnia wygrzewałem się na tumskich ławkach. Przeto rozleniwiłem się na dobre i złe. Z tego powodu otrzymałem poprawkę z języka polskiego. Za ortografię na egzaminie do klasy piątej.

Mój starszy brat znów podczas ferii miał kłopot ze mną. Nauczył mnie ortografii i w wypracowaniach poczyniłem znaczne postępy. Do tego stopnia, że egzamin poprawkowy zdałem z wyróżnieniem już u nowego Profesora. Zygmunt Maciejowski odszedł, a przyszedł na jego miejsce nowy nauczyciel języka polskiego, historii, i zarazem wychowawca, Zygmunt Niklewski.

Wysoki, wyższy od Wuja Brodeckiego, długonogi. Trzy kroki stawiał do katedry. Przynajmniej tak z przesadą mówiono. Głowa wyniosła, osrebrzona na pół szpakowatymi do góry czesanymi włosami. Czoło, sklepienie mądrości. Oczy dołębne zharmonizowane z głosem. Słowa wyważone, organizujące uwagę. Po roku, po śmierci brata, objął po nim stanowisko Dyrektora Gimnazjum w Warszawie. Wolał raczej słuchać, niż mówić. A jeśli mówił, to znacząco.

W ten sposób przez niego przemówił Wyspiański. Nie dramaturg, tylko malarz polnych kwiatów, jakże mi bliskich z kilometrowych zagonów naszych pociągów między miastami. Kwiaty bliskie przez kwiaty mojej matki także.

Dzięki tym kwiatom poznałem Wyspiańskiego dramaturga, którego dramaty przez dłuższy czas już w okładkach słowiałe ujrzałem na wystawie u Pani Stępczyńskiej. Między innymi „Akropolis” i „Achilleis”, nakładem własnym. Kupiłem za bezcen. Od nich zaczęło się moje zbieractwo książkowe.

Niewiele z nich rozumiałem, ale chyba już świadczyły o moich aspiracjach, tym bardziej, że u nas w klasie znacznie podniósł się poziom dzięki nowym kolegom, którzy do nas przybyli po czterech klasach Progimnazjum Rypińskiego: Tomasz Bober, Adam Markowski, Ignacy Szczepkowski i z nimi Kolasiński, Łukaszewski, Betcher i inni.

Z tymi zmianami zaszły również zmiany mniej korzystne na stacji. Pani Sikorska przeniosła się z ul. Więziennej mansardowej na parterową ul. Warszawską, niedaleko Placu Floriańskiego. Tadeusz i Kazik dostali własny pokój, a mnie umieszczono w pokoju zbiorczym wśród 4 kolegów z różnych klas. Znalazłem się wśród nich jak wysadzony z siodła.

Ze stacji, jak mogłem, uciekałem. Płock już znałem jak własną kieszeń. Nie wiedziałem, co robić w godzinach wolnych. Wtedy na Placu Floriańskim ujrzałem skautów wracających z wycieczki. Wśród nich również moich kolegów. Postanowiłem do nich doszłusować. Zgłosiłem się u zastępowego i zostałem przyjęty pod warunkiem, że będę wypełniał przykazania skautowskie.

Była to organizacja stworzona spontanicznie przez samych uczniów. Z aprobatą ze strony Szkoły, bez ingerencji nauczycielskiej. Ta samoistność uczniowska pozwalała na swój sposób chłopcom się wyżyć.

Wstąpiłem do szeregów z wysokimi świecami kijów, które jednocześnie były

naszym berłem osobistym. Brałem udział w zbiórkach zastępu i drużyny. Zdobywałem stopnie sprawności, uczestniczyłem w wycieczkach do lasu łąckiego i do lustra jeziora w nadwodnej i podwodnej oprawie drzew.

Kontakt bezpośredni z przyrodą i lasami, jakich próżno w dolinie mojej rzeki szukać, urozmaicony podchodami, bardzo mi odpowiadał, toteż niebawem otrzymałem III stopień krzyża, a po pół roku II ze srebrną lilijką.

Mieliśmy wspaniałego drużynowego. Nazywał się Wesołowski. Zgodnie z nazwiskiem był żywiołowo wesoły. Miał coś takiego w sobie, co z nim nas bezpośredni łączyło. Siebie w nas przelewał owocniej niż niejeden pedagog.

Pod jego przewodem zimą w mróz pomaszerowałem do niedalekiego od Płocka dworku, gdzie na gościnnym dziedzińcu stoczyliśmy pozycyjną walkę w śnieżnych okopach. Naszą bronią na odległość były piguły utrwalone w wodzie i granaty ze zmarzłych kartofli, a w walce wręcz dzidy kijów.

Ja w tych bojach dostałem granatem w łeb i z szyszką na głowie nazajutrz pomaszerowałem z powrotem do Płocka. Była godzina poranna i śpiewem na rogatkach naszej zwycięskiej młodości powitaliśmy gród piastowski.

Taka była nasza młodość beztroska w tych czasach, w których przeżywaliśmy zwycięstwo Rewolucji Październikowej. Zginął front od wschodu i przesunął się na zachód, żeby rozstrzygnąć losy wojny światowej.

Niemcy liczyli na nasze rezerwy, lecz nic z tego nie wyszło. Legioniści wierni Piłsudskiemu, odmówili przysięgi i do wojska niemieckiego nikt się, mimo propagandy nie kwapił. Sam brałem udział w antypropagandzie.

Na wiecu plakatowo zwołanym w Teatrze Płockim, w którym litwacy wystąpili z proklamacją, że powinniśmy mieć armię pod dowództwem niemieckim do wzmocnienia i obrony wschodnich granic, oczywiście skromnych, bo „Polske od mozie do mozie to być nie mozie”. Nasze pociski ze zgniłych kartofli i śmierdzących jaj tak spacyfikowały, że trzeba było scenę odnawiać. Scenę, na której widziałem młodą Zimińską i Adwentowicza w roli Protasowa.

Zżyłem się z tym teatrem również przez „Czerwony sztandar”, który mi się z wieców utrwalił, a potem z pochodu 1–majowego, rozpedzonego przez żandarmerów na koniach. Uciekałem, ile sił w nogach, aż dopadłem do podwórza mojej pierwszej stancji uczniowskiej.

Jeszcze tylko dwa miesiące niecałe do końca trzeciego roku szkolnego. Na trójkach kończą się trzy lata i kończą się trójki Dyr. Skupińskiego. Szkolna dęta orkiestra żegnała go marszem, a on ją uśmiechem pożegnał.

Po feriach zaszły poważne zmiany. Przede wszystkim nowy Dyrektor Mieczys-

sław Olszowski. Po matematyku humanista klasyk. Tłumacz Kwintyliana, Cyce-rona, Seneki. Do tego dziennikowy poeta. Obiecujący w zapowiedziach i bez oczeki- wanych spełnień pedagogicznych. Znał język łaciński głównie dla siebie i nie lubił go uczyć. Na lekcjach czytał nam „Pana Balcera w Brazylii” i zamiast „Ene- idy” poznaliśmy nasze słomiane epos.

W ten sposób łacina u nas wypadła w kratkę. Po Maciusiu Trzęsigłównie ks. Figielski spletał nam figla i nic poza kaznodziejstwem z łaciny nas nie nauczył, odrabiał za niego zaległości ugorowe HP (horse–power) Henryk Pyrzakowski, dzięki któremu katilinarkę Cyce-rona poznałem w dechę.

Z innych nauczycieli przybyli Babecki, co przykładową matematykę Dyrektor- ską pogłębiał zadaniami, z chemii Hipolit Rościszewski, uczeń Mendelejewa, zwany cukrem gronowym, i z pensji warszawskiej polonistka z zamiłowania, ale nieco zmanierowana na sposób sentymentalny pani Cwierdzińska.

Od Sikorskiej ze stacji odszedłem i trafiłem z deszczu pod rynnę. Przesze- dłem do Pani Brudnickiej z ul. Bielskiej. Mieszkanie na piętrze wielopokojowe takie, że jeden pokój przeszkadzał drugiemu.

Koledzy nieciekawi. Zbieranina uczniów fizycznie dobrze rozwiniętych, ogra- niczonych w rozwoju umysłowym osiłków, co zwąchali we mnie dawnego osła i dokuczali mi nieraz w sposób złośliwy. Sromotny. Szkoda mówić.

Na to wszystko nawet nie mogłem kiwać palcem w bucie, bo właśnie wielki palec z prawej nogi zaczął mi dokuczać. Lekarz szkolny powiedział, że to pazno- kieć wrasta. Ból był niewielki, więc go cierpliwie znosiłem.

Tak dokuszykałem do listopada. Chodzenie mi dokuczało, dlatego więcej le- żałem lub siedziałem z książką w domu. Z tej racji w nocnym rozbrajaniu Niem- ców nie wziąłem udziału.

Nazajutrz dzień bez lekcji. Msza święta w katedrze i podniosłe kazanie ks. Figielskiego. Na Tumach jednak tego nie widać. Niebo ołowiane. Drzewa nagie. Wiatr wodzirej tańczy wśród ostatnich liści. Czuję się wyobcowany. Bezdomny. Niedarmo z Judymem chodzę pod pachą i mimowiednie przenoszę moją duszę utęsknioną od moczarowych Cisów do bagnistej Wkry.

Lekcje odbywały się bezplanowo. Skorzystał z tego fizyk Jan Pniewski i z gru- pą uczniów udał się do elektrowni Górnickiego, żebyśmy się mogli bezpośrednio zapoznać w produkcji z energią elektryczną.

Zwiedzanie zaczęło się od ciemnej zapyłonej hali wielkiego pieca, do którego dwaj robotnicy szuflami rytmicznie wrzucali paliwo. Stanałem w miejscu i nie mogłem nóg od cementu, a oczu od ich twarzy oderwać.



Dwóch ich było zaledwie, ale w oczach moich oni się uwielokrotnili przez stalownię warszawską i przez kopalnie Zagłębia. Trafili do serca, co przez patrona mego Pana Stefana, w moim odczuciu, stało się nienasycone.

Reszta roku w panującym rozgardiaszu zawieruszyła się w drodze do przedwiośnia, a po nim do wiosny niepodległej. Pod wpływem słońca ból w palcu złagodniał. Jak szedłem powoli, to nawet nie było widać, że kuleję.

Nabrałem odwagi i z innymi wyjechałem na konna wycieczkę do Parzenia Brudnickich z młynem nad wijącą się Skrwą, z sadami śliwnymi na jej wyspach. Dom na wzniesieniu ze skłonem w stronę rzeki do huśtawki, na której dziewczęta fruwały sukienkami podniesionymi aż do centrum, broń Boże polszczyzny. To za dnia, a wieczorem kapela i tańce, co do dziś wirują. Po nich wesoły powrót, promocja i wyjazd do domu na ferie.

Nowy rok szkolny i nowe zmiany. Przybyli dwaj Profesorzy duchowni: ks. Prefekt i zarazem nauczyciel historii Godlewski i Pastor Gundlach, nauczyciel języka niemieckiego.

O nich tak pisze nasz znakomity Prymus Tomek Bober: „Tych naszych profesorów nikt z nas nie wspomina oddzielnie. Nie dlatego, że obaj duchowni i ze obaj niewielkiego wzrostu, o zaokrąglonej tuszy. Pewnie, dlatego że to było dwuosobowe towarzystwo wzajemnej adoracji...” i dalej, to przez nich „wzrastaliśmy w tym klerykałnym ponoć Płocku – jak mawiano, mieście emerytów i młodzieży w pełnym poszanowaniu dla wszystkich religii i w duchu głębokiej tolerancji.”

Temu zdrowemu duchowi w szkole, zgodnie z sentencją rzymską, towarzyszyło również zdrowie fizyczne dzięki nowemu Profesorowi Gimnastyki, jakim był Edward Ładno, Sokół, wzór sprawności sportowej.

Założył w szkole Koło Gimnastyczne i pod koniec roku takie zorganizował na Placu Floriańskim pokazy, że płoczanom i zwłaszcza płocczankom oczy zbierały z podziwu na podziw.

Tyle o zmianach w gronie nauczycielskim. A tu jeszcze dochodzi postać godna stanąć obok nauczycieli. To Staś Dubois, co szkoły zmieniał jak rękawiczki, i u nas na jeden rok się zatrzymał w klasie od mojej o rok wyżej.

Chłopiec piękny, zgrabny, pociągający, o oczach ognistych. Miał powodzenie u dziewcząt, jednak nie sprawy osobiste w życiu jego odgrywały rolę decydującą, lecz społeczne, działacza zaangażowanego po uszy.

Poznałem go za sprawą mego kolegi Adama Markowskiego i z odbitki na powielaczu „Młodego Socjalisty”. Było to coś wyjątkowego w moim życiu i uważałem, że powinienem z tego skorzystać. To zdecydowało, że zapisałem się do

„Młodzieży Niezależnej”, znajdującej się pod opieką M. Niedziałkowskiego, posła z PPS. Spotykaliśmy się z nim w bibliotece Pani Jaśkiewicz.

Zebrania Stach prowadził w sposób interesujący i zarazem mobilizujący. Był nieprzejednanym pepesowcem i z bardziej lewicowymi kolegami wiódł merytoryczne spory i utarczki z podziwu godnym darem przekonywania.

Stawałem po jego stronie, gdyż nie internacjonalizm wysuwał na czoło, lecz naszą niepodległość w powiązaniu ze sprawiedliwością społeczną. Przy czym łączyła mnie z nim jego żarliwość i wiązanie pracy z przekonaniami.

To się nie podobało moim kolegom ze stancji i jeden osiłek przez swego ojca powiadomił moich rodziców, że w tak porządnej rodzinie mają syna wyrodka gorszego niż spod ciemnej gwiazdy.

Moi rodzice, dotknięci do żywego, powiadomili o tym najstarszego brata, a ten następnie w liście do mnie ustalił datę spotkania w Babcu u Wujostwa Leszczyńskich. I tam w saloniku na kanapie ucieliśmy rozmowę.

Brat mój był zagorzałym niepodległościowcem i w niepodległości widział również sprawiedliwość społeczną. Ja te dwa pojęcia łączyłem i jednocześnie rozdzielałem. Brat zbytnio nie oponował, ale i nie pochwalał. Radził, żebym swoje zapamiętania odłożył na lata dojralsze. Przede wszystkim ze względu na rodzinę i wątpliwy stan mego zdrowia.

Uczyniłem, jak radził, bez większego przekonania i bez protestu jeszcze i z tej przyczyny, że Staś Dubois już tylko myślał o odlocie, a spory pomiędzy pepesiakami i komunistami wciąż się ważyły to w tę, to w tamtą stronę i wcale nie zachęcały, lecz zniechęcały. Zrezygnowałem z „Niezależnej Młodzieży” i sam się stałem niezależny.

Mimo to podupałem na duchu. Straciłem apetyt i zacząłem chudnąć. Słaby żołądek mnie dobijał. Organizm osłabł i znów się odezwał reumatyzm. Z palca przeszedł do kostki. Musiałem się położyć do łóżka.

W tej sytuacji odwiedził mnie Adam Markowski, który przekonał się naocznie, że moje warunki egzystencji są pożałowania godne. W związku z tym zabrał mnie do swojego pokoju u Państwa Merłów na ul. Dobrzyńskiej, gdzie w zycziwej atmosferze trochę wydobrzałem.

Więcej jednak leżałem niż chodziłem, ale na święta Bożego Narodzenia do domu w każdym bądź razie pojechałem. Cóż z tego, kiedy w drodze się przeziębiłem i kaszlałem na całą potęgę. Bałem się zapalenia płuc.

Reumatyzm na to nie pozwolił. Doszło do zwapnienia w płucu, co wykazały później prześwietlenia i zapalenia stawów tym razem u rąk w palcach dłoni: prawej – wielki i serdeczny, a w lewej – wielki i mały.

Wiłem się w boleści, kiedy palce zwapnienia rozsadały, byłem do niczego, bo nawet książki w rękę nie mogłem utrzymać. W takim stanie pożegnał mnie starszy brat, co z kolegą przyjechał na urlop. Jak się okazało po raz ostatni. I widziałem w jego oczach, że on mnie żegna, a nie ja jego.

Cierpienie człowieka psychicznie wzbogaca i pewnie dzięki cierpieniu miałem też przyjaciół takich, jak Gutek Wawrzyński, Adam Markowski i Ignas Szczepkowski, z którego listu jedyne przytaczam niektóre fragmenty:

*„Nie gniewaj się mój drogi Gołąbku, że do Ciebie nie pisałem tak długo. Co robisz w Bieżuniu, jak tam Twoje zdrowie, czy prędko spoisz w sobie rozluźnione klepki? Dzielny Ty jesteś i biedny chłopak zarazem – cudów byś dokonał swą pracowitością, gdyby nie ta choroba ciężąca fatalnie nad Twym organizmem duchowym. Ręka losu oszczędza tylko takie bezużyteczne, jak ja, sprzęty. Powinny mnie już dawno wziąć djabli – na większą chwałę piekła i z pożytkiem dla społeczeństwa. A tak, myśl człeku, że masz być »porządnym«! Napisz mi, Stefku, coś o sobie, nie zapominając o przyległościach, bo rzeczywiście osłoniętyś mgłą wielkiej tajemnicy. Czekam więc Twej epistoły, teraz zaś, o bądź pozdrowion siedem razy i niech prorok Eljasz ma Cię w swej opiece. Kochający Cię twój*

*Ignac”*

Cały Szczepciusz, pomimo że zginął, żyje w tym liście wielkodusznie samokrytycznym. Żyje, bo żywi przekonanie o własnej bezwartościowości wydobytej z głębi poczucia własnej wartości.

Dzięki usilnym staraniom matki i kąpielom w lutym wróciłem do szkoły i do kolegów, do zajęć lekcyjnych, do odrabiania braków, do rozwiązywania zadań z Rybkina, co na mnie niecierpliwie czekały.

Tymczasem z inicjatywy Ignasia powstało kółko lektur literatury współczesnej. Co tydzień lub dwa razy w tygodniu, zależnie od naszych możliwości, odbywały się nasze zebrania w jednej z kamienic Starego Miasta na poddaszu stacji kolegi Grunwalda, inspirowane przez „Literaturę współczesną” Wilhelma Feldmana.

Nie jestem wielbicielem poezji Jana Kasprówicza. Pomimo walorów dostrzegam w niej brak korelacji między treścią i formą. Jednak Ignas hymny we mnie wszczepił i ukanonizował w nowym kanonie wolnego wiersza.

Po autorze hymnów sięgnęliśmy do bardziej nowatorskiego „Zdroju”, który dzięki Ignasiowi do dziś jeszcze odzywa się przez „Opowieść rybała”, późniejsze „Żywe kamienie”, w których dawność związała się z nowoczesnością.

W ten sposób doznałem do końca roku szkolnego. Opuściłem 118 godzin

lekcyjnych, a mimo to otrzymałem na świadectwie więcej czwórek niż trójek. Było to moje najlepsze świadectwo ze wszystkich moich szkolnych.

W księgarni u Trautmana kupiłem „Księgę ubogich” J. Kasprowicza i opatrzyłem ją dedykacją: „Literatuu... będę wyć – z gołębiim sercem Stefek”. To pauperum memoriae przy rozstaniu wręczyłem Szczepciowi. Padliśmy sobie w ramiona po raz ostatni. To dzięki niemu, jako jego Postumus, po roku wstąpiłem na polonistykę. Zginął nad moją rodziną Wkrą.

Wróciłem do domu i po dwóch tygodniach, dzięki Stryjowi z Ameryki Teofilowi wyjechałem na kurację do Ciechocinka. Tam w „Kasztelance” przeżyłem sześć znakomych tygodni rekonwalescencji, które mnie postawiły na nogi.

Jakby na przekór temu spadł grom z jasnego nieba. Mój brat starszy jako zastępca komendanta szpitala 205 pod Kijowem zginął bez wieści, w moim odczuciu zarąbany bez świadków.

Jako rekonwalescent udałem się do Włocławka i do wojska zgłosiłem się na ochotnika. Komisja prawie że bez badania wcieliła mnie do 14 p.p. Inbellis ac firmus parum nie odegrałem w toczącej się wojnie żadnej roli.

Najpierw po nocach walczyłem z lekką kawalerią – z pchłami. Potem brałem udział przy ewakuacji sprzętu wojskowego do czasu, aż przyszedł rozkaz opuszczenia Włocławka przez Kowal do Lubienia, skąd niebawem wróciliśmy z powrotem do koszar w oczekiwaniu na dalsze rozkazy.

Decydująca noc na pryczy. Rankiem przed apelem szukam obuwia. Ktoś mi je zwędził? Nic podobnego. Kapral w moich butach udał się do miasta na randkę. Bosonóż wychodzę i stoję w szeregu. Z apelu wracam przeziębiony. Leczą mnie aspiryną. Wraca zapalenie stawów. Nie tylko w stopach, lecz i w kolanach. Z Izby Chorych skierowanie do szpitala.

Większych cierpień nie przeżyłem w życiu, jak te na Górnym Szpetalu. Dwie poduszki stóp opuchłych, dwie nabrzmiałe kule zamiast kolan i między nimi zanik mięśni. Prawie że same piszczele.

Rozpaczliwy list do domu. Ojciec przyjeżdża niezwłocznie. Dr Jankowska chce mnie wysłać do szpitala specjalistycznego w Łodzi. Za nic. Ja chcę do domu. Przed odjazdem Pani doktor mówi do ojca: „Nie na długo”.

Ojciec bierze mnie na ręce. Ważę 40 kg, a mam lat 20 i wzrostu 172. Uciążliwa jazda koleją, kolejką, końmi. Powitanie ze łzami matki. Przed wszystkim łóżko. Dwudniowy sen. Potem kąpiele w soli ciechocińskiej i w wytrząskach siana. Po miesiącu stopniowa poprawa. Wygasanie ognisk zapalnych.

Wreszcie decyzja. Ósma klasa. Muszę skończyć szkołę. Ojciec nie chce sły-  
szeć. Zmarnujesz resztę zdrowia, a tu sytuacja materialna nieszczęśliwa. Matka  
wbrew sobie staje za mną. Starszego straciła, drugiemu po nim nie może odmówić.  
Ojciec markotny sam mnie odwozi do Płocka.

Trafiła mi się, na szczęście, stacja u poczciwej Pani Dobrowolskiej przy Hote-  
lu Poznańskim. Za nim pod kątem prostym dwie ulice Starego Rynku. Druga jest  
przedłużeniem ul. Gimnazjalnej. Blisko. Dla mnie 15 minut drogi.

Kuszykanie. Szkoła otwarta dla mnie nawet po dzwonku. Lekcje i pauzy  
w ławce. Powrót. Uskoki rynsztoków. Droga przez mękę. Piętro pod górę. Obiad  
przy wspólnym stole i do łóżka. Koledzy, jak mogą, usługują mi. Nie spłaceni.

Nadrabiam opóźnienie, prawie że półroczne, odrabiam lekcje. Dużo czytam.  
Dzięki Dyrektorowi z antycznego upodobania. Zaczynam od poezji greckiej w nie  
najlepszych przekładach. Z notami i z wierszami wybranymi. Potem poznaję Pla-  
tona w dialogach tłumaczonych przez Wł. Witwickiego. Od niego skok do poetów  
rzymskich. Ulubieniec Dyrektora Owidiusz, po nim Wergiliusz. Wreszcie dla uroz-  
maicenia Wasylewski i jego „Na dworze króla Stasia”, „Romans prababki” i inne  
eseje w formie opowiadań.

W ten sposób dobrnąłem do przedwiośnia. Pod Zmartwychwstanie i ja z łóżka  
powstałem. Z kolan reumatyzm prawie że ustąpił bez śladu. Najgorzej dokuczają  
kostki na nierównościach.

Nareszcie, po próbnym, egzamin maturalny w wielkiej sali na piętrze. Razem  
z Gimnazjum Żeńskim prace pisemne. Z matematyki, jak tylko mogę, pomagam  
koleżankom ciągami. I tak nie dostanę lepszej oceny niż dostateczną. Pniewski  
Henryk, ojciec wielkiego fizyka, ma ze mną na pieńku. Z kolei ja na złość nie  
piszę pracy z języka polskiego, lecz tylko z historii.

Rozdanie świadectw maturalnych. Pierwsze świadectwo dojrzałości z odzna-  
czeniem otrzymuje Tomek Bober, ulubieniec nauczycieli i ich pupilek, mimo że  
wszystko sam sobie zawdzięczał. Potem ja otrzymuję z rąk Dyrektora ze słowami:  
„Świadectwo nie wyróżniające się, ale najbardziej zasłużone”.

Pożegnałem się z kolegami i pożegnałem się ze Szkołą. Wyszedłem po szerszy  
oddech na Tумы, które przez swoje Gimnazjum najstarsze jakby mnie podniosły  
w górę, i moje opuszczone podniosły się

w górę uszy.

Po Płocku mój nowy świat Warszawa. Od Zamku z Kolumną Zygmunta przez  
Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat wpada do Placu Trzech Krzyży, stamtąd

alejami jazda dalej przez Ujazdowskie do królewskich Łazienek i do Belwederu listopadowego i z Przedwiośnia.

Aorta stolicy, szlak krwawych powstań. Zaczyna się od Starego Miasta okien, jak zielone Kilińskiego oczy, wpada w ciasną uliczkę, mija trójcę świecących wież świętego Jana, strzela na przestrzał do Placu Zamkowego, do wyprutej z serca serc, Warszawy i kraju, struny kamiennej Kolumny Zygmunta co zapowiada, że w ostatnim powstaniu, wśród ruin i gruzów.

Pokaże tę pustą ulicę, lud wybity,  
Piorun zgasły, walkę okropną skończoną,  
Ulicę całą ciemną i krwią zadymioną...

Kto tego nie przeżyje dogłębnie w sposób niepodległy, ten jest  
Albo dzieckiem, lub na serce chory.

Dopiero po tym powstaniu przyszło burzliwe USPOKOJENIE.

Pomieszałem czasy, powiązałem z poezją. Tymczasem Warszawa, do której po raz pierwszy przyjechałem, była jeszcze historyczną w swych autentycznych staro-  
świeckich murach. Gubiłem się w niej i odnajdywałem w tym miejscu, gdzie Kra-  
kowskie Przedmieście wpada w Nowy Świat, pod Kopernikiem.

Ja do niego nie dochodzę. Zatrzymuje mnie brama uniwersytecka. W głębi monumentalna Biblioteka i za nią ukryty Uniwersytet. Załatwianie formalności. Na studia zostaje przyjęty bez żadnego egzaminu. Na podstawie świadectwa dojrzałości, metryki urodzenia z podaniem i życiorysem, a do Bratniaka na podstawie zaświadczenia o mojej służbie ochotniczej, pożałowania godnej.

Po immatrykulacji zdobyłem uprawnienia studenta. tego widomym znakiem była czapka studencka, zakupiona na Podwalu u Tuczyzna. Rogatywka biało-amarantowa. Wyróżniająca i zarazem zobowiązująca.

Wróciłem w tej czapce razem z moim kolegą z lat dziecinnych Włodziem Ehrenkreutzem, u którego rodziców stanąłem na stacji. W atmosferze prawie że rodzinnej życzliwości i przyjaźni. Włódzio, podobnie jak mój starszy brat, był medykiem i podobnie jak mój brat pod Kijowem w 20, tak on, już jako lekarz na stanowisku, zginął pod Katyniem bez wieści.

Z Chmielnej na wykłady chodziłem pieszo. Nie istniały jeszcze magisteria i każdy mógł studiować na swój sposób. Decydującą rolę odgrywała indywidualność, a nie dokuczliwość asystentów, zawodowych waśniaków.

Może mniej w tych studiach znajdowało się wiadomości uporządkowanych przy wiążących podstawowych, ale za to więcej umiejętności w poszukiwaniu wiedzy i krytycznym opracowywaniu zdobytego materiału.

Chodziłem na wykłady nie tylko z polonistyki i filozofii, lecz także z historii – Kochanowskiego, Handelsmana, Smoleńskiego, z germanistyki Z. Lempickiego, z romanistyki Manna i z historii sztuki – Batowskiego.

Po pierwszej wojnie światowej zginęły trzy zabory i Uniwersytet Warszawski, nowo powołany do życia, nic na tym nie stracił. Przeciwnie, zyskał, bo ze wszystkich stron Polski i ze świata ściągnęli do niego wybitni profesorzy, jakich w takim skupieniu świetności za dni naszych próżno szukać.

Z nich w moim zasięgu znaleźli się tacy znakomici humaniści, jak Jan Łukasiewicz, światowej sławy uczony, jeden z twórców logiki wielowartościowej, matematyczno-symbolicznej, Tadeusz Kotarbiński, mniej wymowny wykładowca, ale nie mniej wybitny filozof, reista, prakseolog, wyznawca etyki niezależnej, autorytet moralny przeważnej większości wieku XX, Władysław Witwicki, niezrównany wykładowca psychologii, dla którego słuchaczy aula była za ciasna, tłumacz Platona, koneser sztuk pięknych i zarazem Satyr, Tadeusz Zieliński, światowej sławy klasyk, na którego wykłady z języka łacińskiego chodziłem, chociaż z nich mało co rozumiałem, jednak one do jego Sofoklesa mnie skierowały, Zygmunt Lempicki, faustyczny Mefisto, germanista, niezrównany teoretyk literatury i zarazem kulturoznawca, Józef Ujejski, umiłowany mój profesor, z rodu romantyk od „Marii” Malczewskiego po mesjanizm polski, bardziej sugestywny w słowie niż w piórze, Stanisław Szober, nie tak znakomity jak językoznawcy ze szkoły krakowskiej, Jan Rozwadowski, Jan Łoś, Kazimierz Nitsch, ale za to umiejący zdobyć wiedzę językowej systematyzować i od fachowej niejasności wyzwalać. Wybieram z wielkości różnych gwiazdzbiorów plejadę siedmiu. Z każdego we mnie coś się odzywa, nie tylko przy nawrotach lekturowych, lecz i przy obcowaniu z innymi pokrewnymi autorami w ich niewidzialnej postaci.

Od sal wykładowych uniwersyteckich dawnego pałacu Kazimierzowskiego do Biblioteki bliskość bezpośrednia taka, że pozwala wyzyskać każdą godzinę wolną w czytelnicy czy w bibliotece.

Pogłębić wykład uniwersytecki wiadomościami uzupełniającymi, przygotować się do słuchania trudniejszego wykładu, dać upust swojej ciekawości dzięki książkom pomocniczym – to wszystko można było znaleźć w Czytelnicy.

O piętro, a może o dwa, wyżej Biblioteka z katalogami księgozbioru. Dzięki niej wyrównuję braki w moim gimnazjalnym wykształceniu. Przez P. Chmielowskiego sięgam do Al. Świętochowskiego, El. Orzeszkowej i B. Prusa.

Matka i jej syn Włodzio patrzyli na te moje spóźnione zainteresowania z uśmiechem i z pewną rezerwą. A stary Pan Ehrenkreutz, mały i jak struna sprężysty, co poza dwugroszówką nic więcej nie czytał, mówił, że od starych powieści woli swój stary fortepian z walcami Straussa i muzykę operową.

To dzięki niemu przez bilety jaskółkowe w Teatrze Wielkim za dyrekcji Emila Młynarskiego, niezrównanego dyrektora i dyrygenta w jednej osobie, zetknąłem się z muzyką, jakiej dotąd nie znałem.

Z operami: „Aida” Verdiego ze Zboińską–Ruszkowską, już nieco barokową, „Lohengrin” Wagnera, z Gruszczyńskim, „Straszny dwór” Moniuszki z Doboszem i wreszcie balet Różyckiego „Pan Twardowski”, który Włodzio oklaskiwał już po raz trzeci. On z zamiłowania powtarzał, a ja zaniedbania odrabiałem.

Razem też chodziliśmy do Zachęty na wystawy malarskie Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Fałata. Tym zainteresowaniom artystycznym sprzyjała atmosfera inteligencko–koleżeńska. Cóż z tego, kiedy musiałem się z tą stacją rozstać z powodu moich ograniczonych możliwości finansowych.

W tej kłopotliwej sytuacji przyszła mi z pomocą nasza znajoma Aleksandra Radzka. To dzięki jej siostrze zdobyłem mieszkanie u właściciela kamienicy na rożnej Żelaznej z Sienną, inż. Zarebskiego w pokoju stołowym.

Wydłużyła się moja trasa, najczęściej piesza, do Uniwerku na ranne wykłady, a po nich przez Kopernika i Solec do koszar Blocha za mostem Poniatowskiego na obiad kartkowy Bratniaka. Po obiedzie godzinka pieredyszki w Świetlicy i powrót na popołudniowe wykłady. Najważniejsze.

Wracam do domu niemożliwie sfatygowany. Ledwie coś przegryzę i do łóżka. Godzina jeszcze nie późna, do czytania jednak nie mam siły. Ze znużenia szybko zasypiam. Kiedy na bok się przewracam, nogi dokuczają i budzę się do dnia kilka razy. Nazajutrz dzień do dnia podobny.

Jeśli zajęcia kończą się wcześniej, wracam ul. Świętokrzyską ze względu na wystawy antykwariatów. Wyławiam książki tanie i wartościowe. Wartość marki wciąż spada i książka, bez przeceny, prawie że w oczach tanieje. Wyławiam takie, które mogę kupić z moich oszczędności nader skromnych.

Interesują mnie również i te, które nie są na moją kieszeń. Między innymi wielotomowa bibliofilska „Chimera” pod redakcją Miriama. Przez dłuższy czas nie dawała mi ona spokoju, dopóki nie zetknąłem się z nią przez Czytelnię Uniwersytecką. Wówczas doszedłem do wniosku, że szata bibliofilska jej jest piękna i zarazem chimeryczna w odniesieniu do treści i formy.

Dopiero Norwid miriamowski „Chimerę” unieśmiertelnił. Zamiast Prometeusza, klasycznego i romantycznego, buntownika przeciw bogom i przeciw Bogu, odkrywcy Promethidion, Prometeusz pracy, co jest, „kształtem miłości” wyzwolonej z grzechu pierworodnego. Ten kult pracy, szczególnie mi bliski, tak jak postawa społeczna w życiowym osamotnieniu. Niebywała wierność samemu sobie. Zgodnie z miłością i wbrew miłości bezdusznej, salonowej.



Koleżanki, i to nieraz piękne, nie stroniły ode mnie. Nie miałem jednak odwagi stanąć z nimi na równej stopie. Były moim owocem zakazanym z drzewa wiadomości dobrego i złego. Na moje niepokuszenie.

Zresztą z moim niedoborem fizycznym harmonizował mój wygląd pożałowania godny. Ubranie z grubej ordynarnej przędzy. Pono z pokrzyw. Buty długie wojskowe po bracie, w obcasach zdeformowane. W całym moim wyglądzie tylko czapka studencka ratowała mnie jako inteligenta.

Jednak i ona zaczęła stopniowo tracić na znaczeniu, gdyż wokół niej zaczęły się coraz bardziej panoszyć, śród biało-amarantowych rogatywek, płytkie lukrowane czapki korporantów. Złotej młodzieży endeckiej z pałkami. Trzymałem się od nich z daleka. Bezbronny i bezsilny. Potrójnie laskonogi.

A tymczasem, jak po grudzie, zawitał do nas prezydencki 9 grudzień. Większością lewicy, centrum i mniejszości narodowych pierwszym Prezydentem został wybrany budowniczy wielu elektrowni wodnych na Zachodzie, wielce zasłużony orędownik naszej Niepodległości – Gabriel Narutowicz.

Pierwszy i ostatni raz ujrzałem go z daleka, kiedy po wyjściu z Uniwersytetu przystanąłem za bramą. Jechał sankami do zamku, żeby złożyć przysięgę. W przejeździe przywitały go i pożegnały złowrogie okrzyki i piguły zbrukanego śniegu z odwilgłym błotem.

Złożyło się tak, że w przededniu zabójczego zamachu na życie naszego Pierwszego Prezydenta znalazłem się z amatorstwa artystycznego wśród nielicznych widzów i słuchaczy na prelekcji o Chełmońskim w Muzeum Przemysłu i Rzemiosła w wykładowej sali na Krakowskim Przedmieściu. Wykład ten ilustrowany przezroczami miał Eligiusz Niewiadomski, historyk sztuki, co przeszedł do niechwalonej krwawej pamięci.

Nazajutrz po jego zamachu zachętowym z dodatkiem nadzwyczajnym z dnia 16 grudnia wyjechałem na ferie Bożego Narodzenia. Jechałem koleją do Lidzbarka Welskiego. Minęło już lat przeszło 60, kiedy po nocy wczesnym rankiem sankami dostałem się do Brudnic. Zbudziłem Wuję Budzicha dodatkiem nadzwyczajnym. Czytał, czytał, oczom własnym nie wierzył. Wreszcie głowa opadła na poduszki, a ręce na pościel. Głos mu się załamał przy słowach: — Królobójców nie mieliśmy, a tu pierwszy Prezydent Odrodzonej Polski. Nie ma co, ładnie nam się Polska Demokratyczna zaczyna.

Po feriach zimowych skończyła się swoboda wykładowa, nie z literatury i jej przedmiotów pobocznych, lecz z nauki o języku. Głównie za sprawą prof. Szobera, co do swego seminarium wprowadził rygor nauczenia wyniesione z seminariów nauczycielskich. Na pierwszym planie widza o języku współczesnym. A więc gramatyka od podstaw.

Przed wszystkim fonetyka opisowa oparta na eksperymentalnej prof. Benniego i po niej funkcjonalna, oparta na teorii alternacji prof. Baudouin de Courtenay. Następnie przeskok do składni: zdania pojedynczego w oparciu o teorię zdania dwuczłonowego wg Rozwadowskiego i złożonego z wykresami i odpowiednimi schematami literowymi. Wszystko to zostało uwieńczone zaliczeniem i egzaminem sprawdzającym u Profesora.

Nie dosyć na tym. na drugim etapie borykanie się z dwoma gramatykami: języka greckiego i staro-cerkiewno-słowiańskiego, którego wykładowcą był prof. Słoński. Też zaliczyłem u prof. Szobera i zostałem dopuszczony do ćwiczeń seminaryjnych w oparciu o teksty najdawniejszych zabytków języka polskiego.

Do tych studiów zabrałem się nie bez oporu, z konieczności, i nie żałuję tego, że wprzągłem się w jarzmo przymusu. Dzięki Profesorowi Szoberowi zbliżyłem się do źródeł mowy ojczystej, z których po dziś dzień korzystam.

Te studia językowe miały i tę zaletę, że wzbudziły we mnie głód literacki nie do samej historii literatury, w której wciąż tkwiłem po uszy, ale także do poezji współczesnej, która w gruncie rzeczy dla mnie jeszcze nie istniała. Tego do dziś nie umiem sobie wytłumaczyć.

Aż wstyd się przyznać, że „Skamandra” jeszcze niemal do r. 1923 nie znałem. A cóż mówić o awangardzie, znanej głównie z ekstrawagancji? Już prawie trzy lata ten miesięcznik poetycki wychodził, kiedy dzięki mojej koleżance bardziej oblatanej, do ręki wpadł mi nr XXV–XXVI.

Zachwyciły mnie wiersze Juliana Tuwima, wyrosłe z poetyki drzewa, a nie drewna, i Marii Pawlikowskiej wiążące intymność z trafnością wyrazu. To było dla mnie małżeństwo poetyckie, które utrwaliło się w mojej pamięci.

Przez „Skamander” sięgnąłem do roczników „Pro arte et studio” i do samego „Pro arte”. W nich zetknąłem się z J. Lechoniem przez „Mochnickiego” i z Iwaszkiewiczem przez „Oktostychy” z pierwszymi asonansami.

W tym też czasie przez metaforyczne pokrewieństwo z poezją zbliżyłem się do prozy J. Kadena Bandrowskiego, którego już wcześniej poznałem przez legionowy „Łuk”. Jednak rozgłos dopiero zyskał „Generał Barcz” jako powieść polityczna o wodzu. Napisany przez piłsudczyka bezkompromisowego.

Powieść pisana przed i po zabójstwie Prezydenta Narutowicza z zakamuflowanym Piłsudskim, co przez swoją politykę ugodową i kompromisową doszedł do szczytowej alienacji, do osamotnienia w Sulejówku.

Spółczesność była rozbita przez rozbiory, rozbita przez partie i stronnictwa, zasadniczo bezprogramowe i jednocześnie żadne programu, żeby go zwalczać wszystkimi możliwymi sposobami.

O konstytucji marcowej, mimo jej wielkich zalet, tyle się mówi pochwał, a zapomina się o jednym poważnym jej mankamencie, że pozwalała na panoszenie się pozornie demokratycznego parlamentaryzmu z języczkiem u wagi jednego lub dwu głosów przewagi, co Perzyński w komedii „Polityka” tak dowcipnie sparodiował.

Sytuacja z „Przedwiośnia” (pięć kroków w przód, pięć kroków w tył) nie należała do zachęcających, bez perspektyw na wiosnę w rzeczywistości, co skrzeczała na każdym szczeblu, zachęcała do ucieczki strusiej lub przez imaginację do teatralizacji, poza Krakowem, u nas niebywałej.

Po plejadzie znakomitych profesorów nie tylko konstelacje wielkich artystów naszej sceny, lecz i rewelacyjnych teatrologów i reżyserów, którzy zaludnili i ożywili naszą wyobraźnię romantyczną, czas przywołać.

Zaczynam, żeby pożegnać stary teatr, od „Grubych ryb”, od Frenkla jako Wirowskiego i Kamińskiego jako Pagatowicza, aktorów starszego pokolenia kontrastowo śmiesznych – niedoścignionych.

O innych nie mogę bezpośrednio mówić, gdyż wiążą się nierozdzielnie z teatrami i z ich inspiratorami: Reduta z Osterwą na czele, Teatr Polski Szyfmana, Teatr im. W. Bogusławskiego Leona Schillera, Teatr Narodowy, odbudowany po spaleniu Rozmaitości, pod dyrekcją Osterwy.

Zaczynam od najmniejszej sceny bez podwyższenia, jakby widzowie pierwszego rzędu należeli jeszcze do sceny. Osterwa i Limanowski stworzyli konfraternię Reduty, przeciwnej aktorskim gwiazdom przez swój zespołowy realizm psychologiczny. A mimo to w moim drugim doczesnym niebie są gwiazdami.

W jednej osobie Dyrektor, Reżyser, Aktor J. Osterwa na pierwszym planie jako student z „Przechodnia” i Fircyk z komedii Zabłockiego. Uwodziciel z niezrównanym wdziękiem i chevalier charmant w jednej osobie, niedościgniony w aparycji rąk uskrzydłych i w polotnych odskokach i doskokach.

Od tego Fircyka nad fircykami przeskok do Marii Dułębianski i zarazem Marii z „Małego domku” w roli zahukanej kurki domowej, w której stopniowo budzi się, jakby tknięta czarodziejską różdżką Prospera czarująca kobiecość po to, żeby z rąk męża, w roli Chmielińskiego jako Otella, zginąć od kuli.

Jeśli Reduta była teatrem małym, ograniczonym w scenie i widowni do minimum, to Teatr Polski wielkością i wyposażeniem nowoczesnym ze sceną obrotową górował nad wszystkimi teatrami i nawet nad ostatnim Narodowym.

Repertuar w stylu Szyfmana: znakomity i kasowy w sztukach słabszych w znakomitej obsadzie artystów warszawskich i szczególnie krakowskich. Stąd więcej w nim gwiazd niż w innych teatrach.

Hamlet w tonacji W. Brydzińskiego, Antoniusz przy zwłokach Cezara – Jerzego Leszczyńskiego, Henryk IV, wielka kreacja Junoszy Stępowskiego, św. Joanna, co przez swoją świętość oddaliła się od ludzi – M. Malickiej, Gustaw – Konrad – Węgrzyna, koncertowa gra w „Lekkomysłnej siostrze” Perzyńskiego w obsadzie: Zelwerowicz, Ćwiklińska, Przybyłko–Potocka, Grabowski.

Być nowoczesnym, jak Teatr Polski, to jeszcze za mało. Nie być nowoczesnym w wyposażeniu, a jednak być odkrywczym i wiodącym, to znaczy stanąć na wyższym poziomie. Oryginalność obowiązuje, zwłaszcza w naszych czasach.

Tego dowodem Teatr im. W. Bogusławskiego pod dyrekcją Leona Schillera, jak dotąd teatrologa najwybitniejszego. Z trzech lat istnienia tego Teatru dwa pierwsze były pod każdym względem przełomowe.

Przede wszystkim „Nieboska komedia”, szczególnie w scenach zbiorowych. W czerwieni okien doczesnego piekła wizja miasta walącego się powiązana z chórem bezrobotnych: „Chleba nam, chleba...”. Piekło i czyściec zarazem. Bez zmartwychwstania i bez perspektyw na zbawienie doczesne.

Po tej rewolucji zapowiedzianej rewolucja roku 1905 w dwóch wersjach: ogólnoludzkiej w Rosji na podłożu roku 1905 i rewolucji tego roku ograniczonej do Polski i jej robotniczej klasy.

W „Kniaziu Patiomkinie” T. Micińskiego z dekoracjami Pronaszków i muzyką K. Szymanowskiego dramat prowodyrów rewolucji w powiązaniu z klasą robotniczą w aspektach społecznym i moralnym – i „Róża” S. Żeromskiego ukazująca naszą klasę robotniczą rozdartą przez walkę klasową i wolnościową.

Ten trójdzwięk rewolucyjny z Szekspirem współgrający: z „Opowieści zimowej” i „Jak wam się podoba”, w którym pierwszy raz ujrzałem na scenach warszawskich J. Romanównę w urokliwej Rozalindzie.

Jednocześnie z Teatrem Bogusławskiego w tych moich dwóch ostatnich latach studenckich po odbudowie zostały otwarte podwoje Teatru Narodowego, którego pierwszy Dyrektor Osterwa skupił wokół siebie zespół znakomitości aktorskich, zwłaszcza starszego pokolenia.

Od „Mazepy” Słowackiego czas zacząć. Znów się spotkali, jak na początku naszej relacji, Kamiński i Frenkiel. Tym razem jako Jan Kazimierz i Wojewoda. Sekundowała im para znakomych amantów. Osterwa i Węgrzyn, jako Mazepa i Zbigniew. Ten ostatni raczej w cieniu, lecz już wkrótce zablęśnie i przeżyje swoje apogeum w „Don Juanie” Zorilli.

Tym dwóm generacjom dotrzymuje kroku młody wciąż jeszcze wirus z „Warszawianki” Wyspiańskiego tym razem w komediowych rolach: molierowskiego Harpagona i fredrowskiego dusigrosza Łatki – Ludwik Solski.

Przez Teatr Narodowy jedyny raz w życiu ujrzałem Stefana Żeromskiego czytającego z kartki na akademii poświęconej pamięci Tadeusza Micińskiego. Mówił o echach leśnych jak przez mgłę popiołów. Tak mi się zdawało.

Wkrótce potem ujrzałem jego PRZEPIÓRECZKĘ. W niej ręka spływająca po ramieniu Przełęckiego i uwieczony w gardle głos pokonały pięknoducha. Stefan Żeromski i Stefan Jaracz. W nich poszukuję siebie jako Stefana. Jakby i w tym wypadku na troje babka wróżyła. W niespełnieniu.

Teatr moich lat studenckich umiał przemawiać wszystkimi swoimi możliwościami. Tego nie można powiedzieć o dramaturgach i komediopisarzach, chociaż nie brak było takich jak K.H. Rostworowski z „Judasza z Kariothu”, J. Szaniawski z „Ptaka” z Osterwą i Jaraczowym epizodem, który do dziś mnie prowincjusza śmieszy podrzuceniem ramienia ze słowami: „U nas na szerokim świecie...”.

Nikt wówczas nie przypuszczał, że największym dramaturgiem u nas tych czasów stanie się Witkacy, którego z mieszanymi uczuciami poznałem „Tumora Mózgowicza”, kupionego za bezcen w antykwariacie.

To on mnie skłonił, że wybrałem się do Teatru im. Fredry na premierę sztuki „Jan Karol Maciej Wścieklica” – pastisz antywitosowski. Tam poza autorem po raz pierwszy ujrzałem Boya Żeleńskiego zacierzewanego w rozmowie z jaskającym się Irzykowskim, antagonistą nieprzejednanym.

Teatr, w niedosycie miłości, to było moje z rekompensacji zakochanie. Jego kreacje aktorskie należały i do dziś należą do mojego wewnętrznego teatru. Nic dziwnego, że za Wyspiańskim: I ciągle widzę ich twarze... i nic dziwnego, że z lutnią fantastycznie nastrojoną z teatru za sprawą prof. Ujejskiego wzbogacony wracam do romantyzmu naszego od byronicznej „Marii” Malczewskiego do geniusza uczuć Mickiewicza, do geniusza wyobraźni Słowackiego i do romantyka myśli filozoficznej Krasińskiego.

Piszę pracę proseminaryjną z końcowej partii Wielkiej Improwizacji i zdaję egzamin u mego Profesora z romantyzmu polskiego, ze szczególnym uwzględnieniem literatury naszej z lat 1844 do 1848.

W ten sposób dostałem się do seminarium z historii literatury i po pół roku otrzymałem temat do pracy dyplomowej: „Wacława dzieje” Stefana Graczyńskiego jako dramat romantyczny. W znaczeniu prekursorski.

W związku z tym zmienił się cały styl mojej pracy. Od wykładów i od Uniwersytetu prawie że się odsunąłem. To pociągnęło za sobą z kolei zmianę trasy uniwersyteckiej do koszar Blocha na trasę do Koszykowej ze stołówką studencką do Biblioteki na Koszykowej od godziny 9 rano do 9 wieczorem z przerwą na obiad godzinną. W godzinach rannych zajmowałem się pracą dyplomową, a w popołu-

dniowych w pierwszym etapie neoromantyzmem na podstawie I. Matuszewskiego „Słowacki i nowa sztuka” ze szczególnym uwzględnieniem Baudelaire'a, Verlaine'a, Rimbauda, Malarmégo. W ten sposób połączyłem swoje poranne umiejętności z popołudniowym pogłębianiem moich wiadomości historyczno-literackich, jak i poetyckich.

Co do umiejętności to były one nader skromne i skromnie, tylko jako dostateczna, moja praca dyplomowa została oceniona przez Profesora. Prawdopodobnie na Placu Trzech Krzyży ostatecznie zaginęła. Ciszę się z tego, bo pewnie bym się jej wstydził.

Z moich ostatnich odczytań dzięki Hanuszkiewiczowi, jednak bez jego reżyżerskich nadużyć, uważam Stefana Garczyńskiego jako autora „Wacława dziejów” za prekursora naszej poezji romantyczno-filozoficznej. Dopiero po nim pojawił się Krasieński i o całą głowę filozoficzno-poetycką wyższy Norwid. Wreszcie XIX w. zamknie filozoficzny Asnyk „Nad głębiami” bez głębi.

Garczyński jako uczeń i przez pewien czas zapalony zwolennik Hegla przejął od tego sławnego podówczas filozofa principium myślenia dialektycznego, czemu dał wyraz w „Wacława dziejach”. Przecież Wacław to osobliwa w założeniu teza, a Nieznajomy to jego wieloznaczna antyteza. A gdzie synteza? W nienapisanej części trzeciej z przyczyn obiektywnych, bo niedoszły spisek koronacyjny i w domyśle upadek powstania listopadowego odcięły słowo od czynu i dzisiaj od jutra.

W poema Garczyńskiego miesza się: odkrywczość z wpływami Byrona i Malczewskiego, Goethego i Mickiewicza; i manieryzm romantyczny z maksymami klasycznymi, jak np. Człowiek zrodzony, by wszystko dociekał sam niedocieczony

lub                   W modłach noce przepłaczę, dni przemęcę w trudzie,

Tylko niech kraj mój wolny – wolni będą ludzie!

lub                   Gdzie jutro stanę ledwie – miałem być już wczora.

lub                   Kto wie? Dnia obecnego jutro zawsze strata.

Gdzieś przed ostatnim semestrem studiów złożyłem u Profesora swoją pracę dyplomową i cały czas poświęciłem przygotowywaniu się do egzaminu naukowego: w domu godziny poranne przeznaczyłem na naukę o języku, na gramatykę historyczną i na dialektologię, a poza domem godziny popołudniowe na Koszykowej wypełniałem lekturami historyczno-literackimi od średniowiecza przez literaturę łacińsko-polską do renesansu.

Ten zaczynał się od Reja, co łączy w sobie średniowiecze, reformację i renesans (oryginalność stylu). Po nim bardziej jednolity, choć nie jednoznaczny był Kochanowski, co stworzył kanon liryki horacjańsko-dawidowy dla całej literatury staropolskiej aż do czasów Mickiewicza, co stał się pierwowzorem dla całego na-

szego romantyzmu do czasu, kiedy to Słowacki takim pierwowzorem stał się dla neoromantyzmu, a po nim dla nas obecnie Norwid. Oczywiście w skrócie uproszczonym i telegraficznym.

Obciążony nadmierną pracą i ponaglany przez dom, znajdujący się w krytycznej sytuacji finansowej, niedożywiony podpadłem na zdrowiu. Reumatyzm ukryty na to tylko czyhał. Złośliwy się odezwał i znów dał się we znaki. Ledwie dowlokłem się do ostatnich moich ferii studenckich.

Na ironię tak się dobrze złożyło, że moim chrzestnym rodzicom reumatyzm także dokuczył, a ponieważ nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, dzięki ich dobroczynności znalazłem się w Solcu.

W nim, jak kiedyś w ciechocińskiej Kasztelance, na nowo odżyłem i pożegnałem się z łaską, którą posłałem do kąta za karę. Ludzie uśmiechali się do mnie. Stałem się żywą biegającą reklamą dla siarczanych kąpieli Solca.

Po feriach ochoczy z zapasem świeżych sił zabrałem się do pracy i kiedy moja praca dyplomowa została wreszcie zaakceptowana, przystąpiłem do egzaminu naukowego, żeby zostać polonistą szkół średnich.

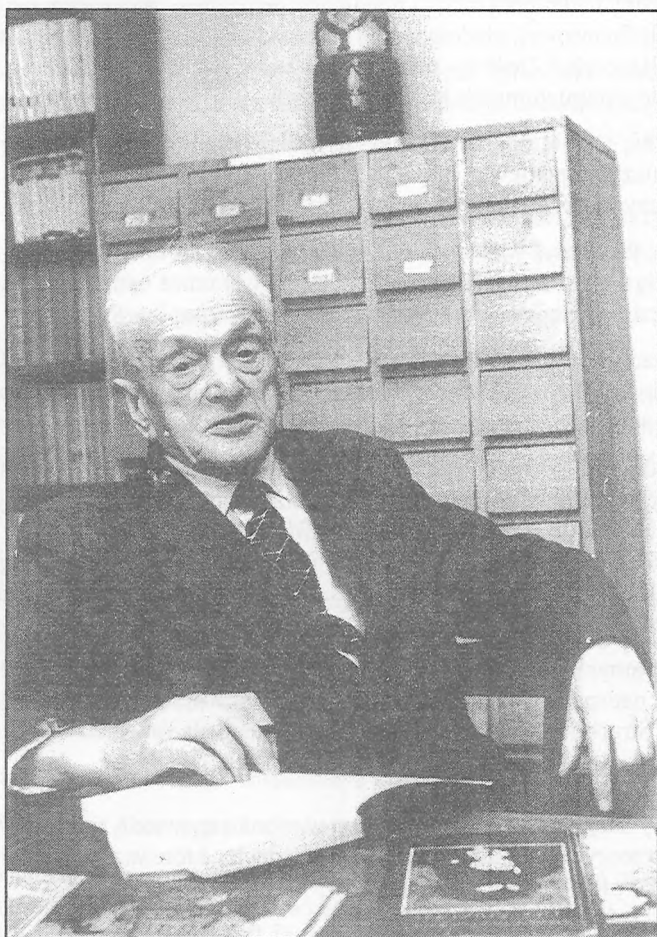
Z przedmiotu głównego pisałem pracę z literatury u prof. Ujejskiego pt. „Teoria i praktyka w twórczości Kazimierza Brodzińskiego”, a z nauki o języku u prof. Szobera, „Rozbiór językowy psalmu z »Psałterza puławskiego«”. Wreszcie z przedmiotu dodatkowego prof. Kostanecki zapomniał o mnie i egzaminator z braku laku dał mi temat z jego książki, który znałem najlepiej: „Geneza Polski współczesnej”.

Po pisemnych ocenach dobrych egzaminy ustne u tych samych Profesorów poszły mi nadspodziewanie bez potknięć, chociaż przed nimi wiele strachu się najadłem. Strach ma wielkie oczy i pewnie dlatego słabo widzi.

Do góry uszy – to wreszcie trzecia ujawniona zapowiedź, wbrew dwóm zapowiedziom rzeczywistym, zdrowia i zdrowego ducha, które w zapowiedziach zginęły dla tej, co nie zginęła.

Byłem ich antytezą. Przez skazę własnej fizycznej ułomności, przez klęski i upadki, kiedy nie mogłem, jak moi bracia, przez moc własną wyzwać siebie, wy dobyłem moc przez zmobilizowanie własnej słabości.

Zamiast: Zdrowy duch w zdrowym ciele – Mens sana in corpore insano. I tak ostatnio myślę o sobie i nie tylko o sobie.



**Stefan Gołębiowski w swojej bibliotece.**  
Fot. W. Zawadzki.